

Brakował mu cal – może dwa – do sześciu stóp wzrostu, był potężnie zbudowany, a gdy szedł prosto na kogoś z pochylonemi nieco plecami i wysuniętą głową, patrząc nieruchomo spodełba, przypominał nacierającego byka. Głos miał głęboki, głośny; z zachowania jego przebijała jakby uparta pewność siebie, w której nie było wcale zadzierzystości. Zdawało się że ta pewność siebie jest nieunikniona, że się przejawia nietylko w stosunku do innych, ale i do niego samego. Był nieskazitelnie czysty, przybrany w niepokalaną biel od trzewików aż do kapelusza, i w przeróżnych wschodnich portach, gdzie zarabiał na życie jako subiekt okrętowego dostawcy, bardzo był popularny.

Taki subiekt nie potrzebuje zdawać egzaminów z żadnego przedmiotu, ale musi posiadać zdolność kombinowania i wykazywać ją w czynie. Praca jego polega na ściganiu się łódką – żaglową, parową lub poruszaną zapomocą wiosł – z innymi subiektami; chodzi o to aby wyprzedzić wszystkich, dopaść okrętu nim go zakotwiczą, przywitać się wesoło z kapitanem, wetknąć mu kartę – anons dostawcy okrętowego – gdy zaś kapitan pierwszy raz na brzeg wysiadzie, zaprowadzić go niepostrzeżenie lecz stanowczo do obszernego sklepu, przypominającego jaskinię pełną produktów, które się jada i pija na okręcie; można się tam zaopatrzyć we wszystko co czyni statek pięknym i zdolnym do podróży, zarówno w komplet haków linowych jak i książeczkę z pozłotą do rzeźbionych ozdób steru; a w sklepie tym dostawca okrętowy wita po bratersku szypra, choć go nigdy przedtem nie widział. Czekają tam na gościa chłodny gabinet, fotele, butelki, cygara, przybory do pisania, egzemplarz przepisów portowych i ciepłe powitanie, które roztopia sól nagromadzoną w sercu marynarza podczas trzymiesięcznej podróży. Póki okręt przebywa w porcie, subiekt podtrzymuje przez codzienne odwiedziny stosunki nawiązane w ten sposób. Wierny jest kapitanowi jak przyjaciel, pełen synowskiej atencji, a odznacza się przytem cierpliwością Joba, altruistycznym oddaniem kobiety i wesołością dobrego kompana. Później posyła się dowódcy statku rachunek. Piękne to i humanitarne zajęcie. To też dobrzy pracownicy w tym fachu trafiają się rzadko. Gdy subiekt, posiadający zdolność kombinowania, ma w dodatku tę wyższość, że się zna z morzem, wówczas przynosi swemu chlebodawcy moc pieniędzy i zasługuje na względy. Jim zawsze miał dobrą pensję, a okazywano mu tyle względów, że można było za nie kupić wierność skończonego wroga. Tymczasem z czarną niewdzięcznością rzucał nagle swoje zajęcie i wyjeżdżał. Przyczyny, które podawał chlebodawcom, były bezwzględnie niedostateczne. Mówili o nim: „Dureń, psiakrew”, z chwilą gdy się do nich plecami odwrócił. Takie było ich zdanie o niezmiernie wrażliwości tego człowieka.

Dla białych ludzi pracujących w porcie i dla kapitanów różnych statków był poprostu Jimem – i niczem więcej. Miał naturalnie i nazwisko, ale chodziło mu o to, aby tego nazwiska nie wymieniano. Incognito Jima – dziurawe jak rzeszoto – miało ukrywać nie człowieka lecz fakt. Kiedy ów fakt na jaw wychodził, Jim opuszczał nagle morski port, gdzie się wówczas znajdował i udawał się do innego – zwykle dalej na wschód. Trzymał się portów, ponieważ był marynarzem wygnanym z morza i posiadał zdolność kombinowania nadającą się wyłącznie do zajęcia morskiego subiekta. Cofał się w porządku ku wschodzącemu słońcu, a ów fakt gonił za nim nieodwołalnie, wcześniej lub później. I tak w ciągu lat znano kolejno Jima w Bombaju, Kalkucie, Rangunie, Penangu, Batawji – i na każdym z tych postojów był tylko Jimem, subiektem dostawcy okrętowego. Później, gdy zdał sobie jasno sprawę, że dłużej tego nie wytrzyma, opuścił nazawsze porty i białych ludzi, usuwając się aż w głąb dziewiczego lasu, i wówczas to Malaje ze wsi leżącej wśród dżungli – gdzie postanowił ukryć swe niefortunne zdolności – przyłączyli drugie słowo do jego jednozgłoskowego incognita. Nazwali go: Tuan Jim, co znaczy mniej więcej: Lord Jim.

Urodził się na probostwie. Wielu dowódców pięknych statków handlowych pochodzi z tych przybytków spokoju i pobożności. Ojciec Jima posiadał niezbitą wiedzę o Niewiadomem, stosowną dla bogobojnych mieszkańców chat i nie mącąca spokoju ducha tych, którym nieomylna Opatrzność umożliwia zamieszkiwanie w pałacach. Mały kościółek na wzgórzu przypominał w swej omszałej szarości skałę za strzępiastą zasłoną z gałęzi. Stał tam na miejscu już od stuleci, a drzewa naokoło niego pamiętały zapewne chwilę, gdy kładziono kamień węgielny. Poniżej jaśniał ciepłą barwą czerwony front probostwa wśród trawników, klombów i jodeł, z sadem od tyłu, brukowaniem podwórzem na lewo i pochyłemi szybami oranżeryj, wspierającymi się o ścianę z cegieł. Probostwo należało do rodziny już od

pokoleń; Jim był jednym z pięciu synów, a gdy przy końcu wakacyj – w czasie których naczytał się lekkiej literatury – ujawniło się jego powołanie do służby na morzu, wysłano go od razu na „statek szkolny dla oficerów marynarki handlowej”.

Nauczył się tam brasowania górnych rej i trochę trygonometrii. Lubiono go ogólnie. Był trzecim w nawigacji i nadawał tempo, wiosłując w pierwszym kutrze. Nie podlegał zawrotom głowy, a że miał przytem bardzo silny organizm, wykazał dużo zręczności w pracy na masztach. Jego stanowisko manewrowe było na marsie przedniego masztu. Patrząc stamtąd często wdół z pogardą człowieka, który ma błysnąć odwagą wśród niebezpieczeństw; ogarniał wzrokiem spokojną gromadę dachów, przeciętą na dwoje brunatnym nurtem rzeki, i kominy fabryczne rozsiane po skraju okolicznej płaszczyzny, wznoszące się prostopadle na tle brudnego nieba; każdy z nich był smukły jak ołówek i zionął dymem jak wulkan. Jim mógł także oglądać odjazd wielkich okrętów, promy o szerokich belkach sunące bez przerwy, małe czółenka hen nisko pod stopami – a w oddali mglistą wspaniałość morza i nadzieję bujnego życia w świecie przygód.

Na niższym pokładzie wśród rozgwaru dwóchset głosów zapamiętywał się często, przeżywając myślą zawczasu życie marynarza na modłę lekkich powieści. Wyobrażał sobie, że ratuje ludzi z tonących okrętów, rąbie maszty wśród huraganu, że płynie u końca liny przez wzburzone fale; to znów zdawało mu się iż jest samotnym rozbitkiem, półnagim i bosym, i chodzi po gołych skałach, szukając skorupiaków aby odpędzić śmierć głodową. Stawiał czoło dzikim na podzwrotnikowych wybrzeżach, uśmierzał bunt na pełnym morzu, i w drobnym czółenku wśród oceanu budził ducha w zrozpaczonych ludziach – będąc zawsze wzorem obowiązkowości – niezłomny jak bohater z książki.

– Coś się tam stało. Chodźcie no!

Skoczył na równe nogi. Chłopcy wspinali się po drabinach. Na górnym pokładzie słychać było gwałtowną bieżaninę i krzyki, a gdy Jim wydostał się przez lukę, stanął jak wryty w oszołomieniu.

Był zmierzch zimowego dnia. Wicher wzmagał się już od południa, zatrzymując ruch na rzece i dął teraz z siłą huraganu; dorywcze jego wybuchy grzmiały jak salwy wielkich armat nad oceanem. Deszcz ciął ukośnymi pasmami, które to siekły, to znikały, a od czasu do czasu odsłaniał się na chwilę przed Jimem groźny widok kotłującego się nurtu, drobny stateczek podrzucany falami, miotający się wzdłuż brzegu, nieruchome budynki wśród pędzącej mgły, szerokie promy rozkołysane ciężko na kotwicy, obszerne pływające pomosty, które bujały się w górę i w dół, przesłonięte bryzgami. Każdy następny poryw wichru zdawał się zmiatać to wszystko. Powietrze było pełne lecącej wody. Czuło się jakąś dziką celowość w burzy, wściekłą zawziętość w huku wiatru, w brutalnym zgiełku ziemi i nieba; Jim miał wrażenie iż to wszystko zwraca się przeciw niemu i trwoga zaparła mu oddech. Stał bez ruchu. Zdawało mu się że go wir jakiś porywa.

Potrącano go. „Kuter na wodę!” Chłopcy przebiegali koło niego. Przybrzeżny statek, chcąc się schronić u lądu, zderzył się z zakotwiczonym szkunerem; jeden z instruktorów okrętu był świadkiem tego wypadku. Chłopcy włązili tłumnie na barjerę, czepiali się gromadnie żórawików szalupowych. „Zderzenie. Tuż przed nami. Pan Symons widział”. Ktoś pchnął Jima, który zatoczył się na trzeci maszt i chwycił jakieś liny. Stary statek szkolny, przycumowany do beczki kotwicznej, dygotał cały, chyląc łagodnie dziób w stronę wiatru, a skąpy jego takielunek nucił głębokim, zdyszany basem pieśń o młodości statku na oceanie.

– Na dół kuter! – Jim ujrzał łódź z ludźmi zapadającą szybko za burtę i rzucił się ku niej. Usłyszał plusk. „Puszczaj! Wyhaczyc kuter!” Wychylił się za barjerę. Rzeka wzdłuż statku wrzała pienistymi smugami. Dostrzegł wśród zapadających ciemności, że kuter miota się na jednej linii z okrętem, jakby urzeczony przez prąd i wiatr – które przez chwilę osadziły go na miejscu. Jim usłyszał niewyraźnie głos wrzeszczący na kutrze: „Równo, szczeniaki, jeśli chcecie kogoś wyratować! Równo!” A łódź wzniosła nagle dziób wysoko i skoczyła na bałwan z podniesionymi wiosłami, wyłamując się z pod czaru rzuconego przez wiatr i prąd.